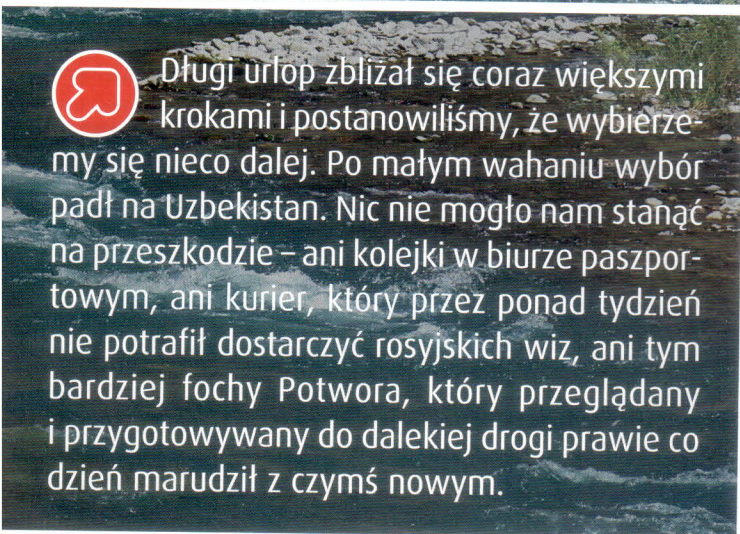


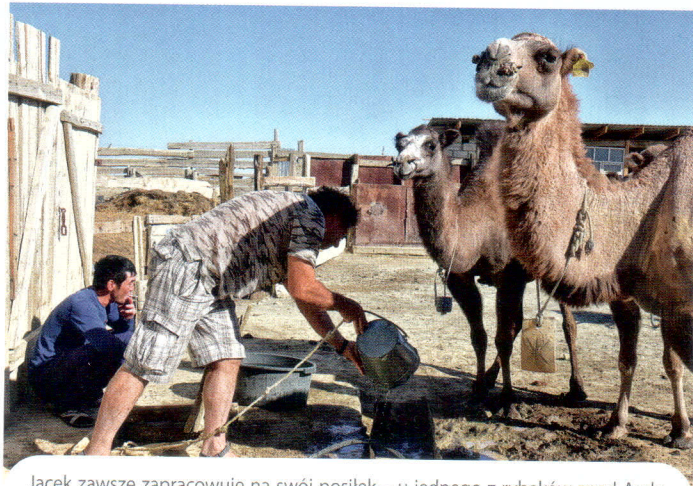
Tu jesteś gościem

 **Uzbekistan**





Długi urlop zbliżał się coraz większymi krokami i postanowiliśmy, że wybierzemy się nieco dalej. Po małym wahaniu wybór padł na Uzbekistan. Nic nie mogło nam stać na przeszkodzie – ani kolejki w biurze paszportowym, ani kurier, który przez ponad tydzień nie potrafił dostarczyć rosyjskich wiz, ani tym bardziej fochy Potwora, który przeglądany i przygotowywany do dalekiej drogi prawie co dzień marudził z czymś nowym.



Jacek zawsze zapracowuje na swój posiłek – u jednego z rybaków znad Arala w gościnie

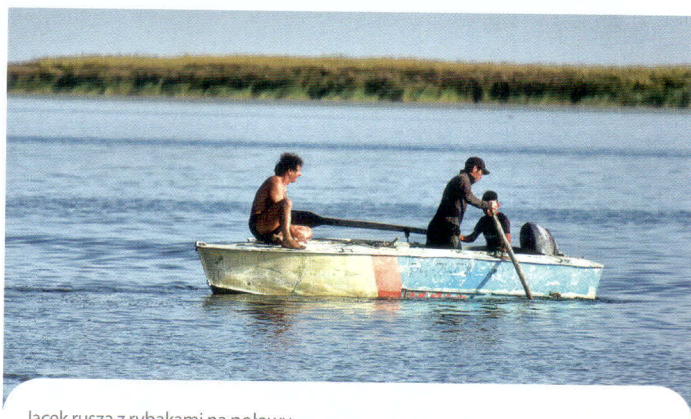
W końcu nadszedł dzień wyjazdu. Samochód przygotowany i spakowany, baterie naładowane, my zmotywowani. I rozpoczęła się... długa i raczej nudna jazda. Do granicy Uzbekistanu mieliśmy około 3 860 kilometrów. Potwór nie jest demonem prędkości i nawet przy dwóch zmieniających się kierowcach tempo było raczej średnie. Do tego dochodzi fakt, że autostrada ciągnie się jedynie do ukraińskiej granicy, a dalej czekała nas jazda głównie jednopasmówkami z ograniczeniami prędkości. Najważniejsze jednak było to, że w końcu byliśmy w drodze. Aż chciało się zakrzyknąć: „Przygodo, witaj ponownie!”

Przekraczanie granic

Jeżdżąc po Europie, odwyka się od szczegółowej kontroli. Nawet w drodze na Kaukaz, czy choćby Bałkany, odprawa celna ogranicza się do jednego czy dwóch pytań. Kierunek wschodni to jednak inna bajka. O ile na Ukrainę wjechaliśmy bez większego halo (choć po dwóch godzinach stania w kolejce), o tyle przy wyjeździe do Rosji celnik dwa razy dokładniej przejrzał nam auto. Jakby było mu mało, to jeszcze postanowił sprawdzić numer VIN – to zdarzyło nam się po raz pierwszy w wieloletniej historii zagranicznych wojaży.

Na każdej granicy Potwór był opukiwany, oglądany z kanału i z pomocą lusterek. Celnicy zaglądali pod maskę, do każdego schowka, worka, pojemnika. To, co przeżyliśmy trzy lata temu w Naddniestrzu, było zaledwie przedsmakiem przekraczania tych ośmiu granic w tym roku. Ponieważ jednak niczego nie przemycaliśmy i nie mieliśmy nic do ukrycia, podchodziliśmy do rozpakowywania i pakowania spokojnie.

Rosyjskie granice minęły powoli, z biurokratyczną skrupulatnością, ale bez komplikacji. Gdy podjechaliśmy na koniec długiej kolejki wy-



Jacek rusza z rybakami na połowy



Chiwa

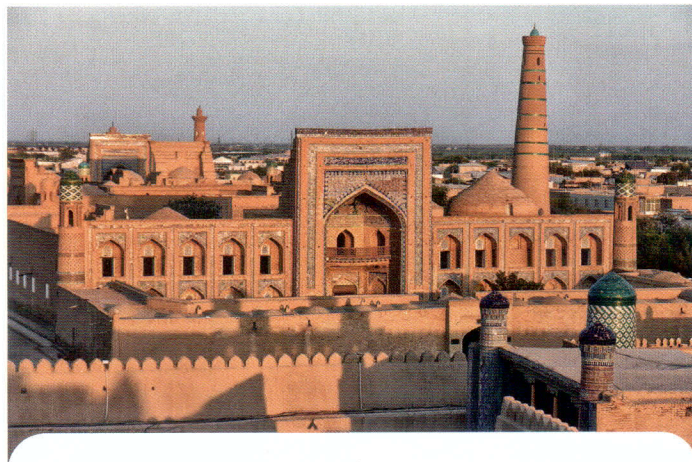
pakowanych ponad miarę samochodów do granicy kazachskiej, aż jękneliśmy. „Tydzień stania!” – taka myśl nas nawiedziła.

Zostaliśmy jednak mile zaskoczeni – zagraniczni turyści mają na przejściu pierwszeństwo i w ciągu kilku sekund znaleźliśmy się na samym początku sznura pojazdów, tuż przed samą bramą. I tu nasze drogi się rozeszły – Jacek, jako pasażer, powędrował przez odprawę paszportową osobno, ja z Potworem przejechałam. Spotkaliśmy się ponownie już za szlabanem przejścia, w Kazachstanie.

Podobnie było na przejściu kazachsko-uzbeckim. Tym razem Jacek jako kierowca jechał, ja – pasażer – przeszłam pieszo. I tu po raz pierwszy zasmakowałam niesamowitej uzbeckiej gościnności. Wysiadając przed przejściem, zabrałam ze sobą tylko portfel i paszport. Zapomniałam choćby o butelce wody, czy czapce. A tu słońce praży, schować się przed nim nie ma za bardzo gdzie, a i w skąpym cieniu pragnienie suszy. Postanowiłam skorzystać z oferty budki z napojami. Spotkałam się przy niej z jakimś starszym mężczyzną, który na mój widok położył na ladzie drugi banknot i powiedział, że on stawia. Na mój protest usłyszałam, że jestem gościem i mi się to po prostu należy. Nie mogłam dalej z tym dyskutować. I tak oto Uzbekistan powitał nas szeroko otwartymi ramionami i serdecznością.

Festiwal życzliwości i gościnności

Gościnność i życzliwość mieszkańców Uzbekistanu przejawiała się na różne sposoby – zaproszenia do domów,



Chiwa – wieczorny widok z murów twierdzy

częstowanie smakołykami, wspólna zabawa czy tylko rozmowy. Zaproszenia na herbatę czasem kończyły się kolacją, a potem noclegiem, bo zagadanych zastawała nas północ. Tak na przykład spędziliśmy wieczór w Górach Hissarskich, a z sympatycznymi gospodarzami rozstaliśmy się dopiero po śniadaniu. W Uzbekistanie, jak i w innych krajach, im mniej turystów, tym gościnność bardziej szczerza i hojna. W tych wioskach i regionach wciąż byliśmy gośćmi, nie turystami.

Momentami czułam się jak mobilna atrakcja turystyczna dla tubylców. Wiem – biała skóra, blond włosy, jasne oczy – nie miałam szans zgubić się w tłumie, nawet w tłumie innych turystów. Co trochę ktoś mnie zaczepiał, zagadywał, pozował dla mnie do wspólnego zdjęcia lub chciał dla siebie zrobić ze mną selfie. Jacek ze swoją ciemniejszą karnacją i czarnymi włosami nie wzbudzał takiego zainteresowania. Przynajmniej dopóki nie wyjął z samochodu gitary. Z tym atrybutem natychmiast zapraszano go do wspólnego grania lub proszono o mały koncert.

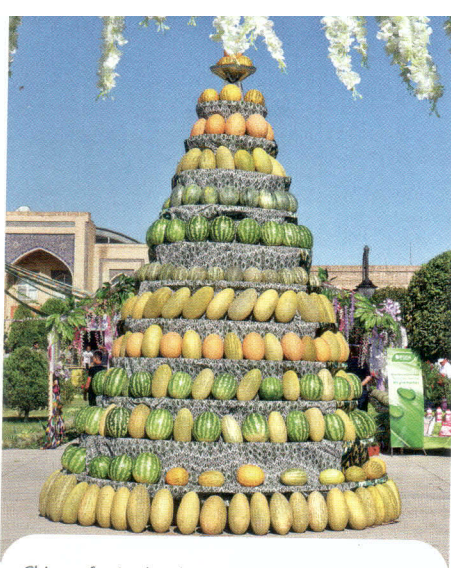
Drugiego dnia pobytu w Chiwie śmiałam się, że pół miasta go już zna, bo ludzie pozdrawiali „pana muzyka”, mijając nas w uliczkach Ichan Qa'la (czyli starego miasta).

Niezwykłym dla nas było pozostanie w Chiwie i jej okolicach przez trzy dni. Mieliśmy jednak bardzo konkretny i smakowity powód. W tym czasie odbywał się tam Festiwal Melonowy, czyli lokalne owocowe dożynki. Plac przed główną bramą Ichan Qa'la wypełniony był stoiskami

z różnych regionów i stosami owoców i warzyw. Królowały melony i arbuzy, ale nie zabrakło winogron, brzoskwiń, jabłek, orzechów, suszu, papryki, nawet ziemniaków czy miodu. Gdy festiwal był w pełnym



Wraki w Munjak



Chiwa – festiwal melonowy



Chiwa – festiwal melonowy – obfitość owoców



Melonowy festiwal to także muzyka, śpiew i tańce

rozkwicie, przez cały dzień jedliśmy wyłącznie soczyste owoce, którymi częstowano nas na każdym kroku. Ok, powiecie, że festiwale rządzą się swoimi prawami i częstowanie zwiedzających jest na nich normą. Jednak do wspólnego posiłku zapraszano nas nie tylko na stoiskach. Chlebem i owocami dzielili się z nami także zwykli Uzbeki, który przysiadłszy gdzieś w cieniu robili sobie przerwę od zgiełku festynu.

Do dobrego człowiek szybko się przyzwyczaja, więc i do takich zaczepki i zaproszeń szybko przywykliśmy. Jednak jedno wydarzenie w Samarkandzie przebiło wszystko. Jak się przy tej okazji dowiedzieliśmy, w Uzbekistanie jest normalną rzeczą, by na wesele zaprosić obcych, złapanych na ulicy. Dla nas to jednak było coś niezwykłego. W jednej chwili przechodziliśmy obok sali weselnej, a w drugiej już siedzieliśmy przy suto zastawionym stole z kieliszkami w dłoniach. Ja głównie rozmawiałam z innymi gośćmi (miejscowymi i przyjaciółmi pary młodej, ale też obcymi, jak my gośćmi z przypadku), dopytując o panujące tu zwyczaje, a Jacek postanowił pokazać bawiącym się pod sceną gościom, że Polacy też potrafią tańczyć. Lata spędzone w zespołach pieśni i tańca nie poszły na marne – wywijał hołubce, aż Uzbekowie klaskali z uciechy.

Nie tylko wielka trójca

Jak zawsze przed każdym wyjazdem mieliśmy dylemat – ograniczony czas, o wiele mniej ograniczona liczba miejsc, które można zobaczyć. Co wybrać? W które zakątki pojechać? Musieliśmy dokonać wyważonego wyboru, nie ograniczając się tylko do topowych miejsc.

Każdy, już od rosyjskiej granicy, kto pytał nas dokąd jedziemy i słyszał, że do Uzbekistanu, od razu stawiał na to, że z pewnością będziemy zwiedzać wielką trójkę: Chiwę, Bucharę, Samarkandę. I rzeczywiście zajrzeliśmy do każdego z tych trzech miast. Zaczęliśmy od Chiwy, która zauroczyła nas klimatyczną, zamkniętą w pierścieniu murów starówką. Może meczety i medresy nie są tak zdobne, jak gdzieś indziej, jednak zgromadzone w zamkniętej przestrzeni, nie zakłócają nowoczesnymi budynkami, współtworzą atmosferę starego miasteczka. Muszę przyznać, że miejscem, które najbardziej mnie tam urzekło, było wnętrze Meczetu Juma. Ponad dwieście drewnianych, bogato zdobionych rzeźbieniemi kolumn, wypełniających wnętrze byłego meczetu, robi niesamowite wrażenie. Od razu przypomniał mi się Pałac Jerebatan w Stambule.

Tego specyficznego klimatu nie ma już ani w Bucharze, ani w Samarkandzie, gdzie zabytki porzucane są po miastach i mieszają się z normalną zabudową.

W Bucharze największe wrażenie zrobiło na nas tylko Mauzoleum Samanidów. Koronkowa robota budowniczych z przełomu IX i X wieku

powoduje, że aż żal odwracać spojrzenie od wykonanych wyłącznie ze zwykłych cegieł, niczym niezdobionych ścian. Wystarczyło odpowiednie ułożenie cegieł, by uzyskać efekt misternej plecionki.

Samarkanda z kolei swoje braki nadrobiła niezaprzeczanym pięknem Registanu i prowadzonymi na nim przygotowaniami i próbami do odbywającego się pod koniec sierpnia międzynarodowego festiwalu kulturowego. Wprawdzie przez festiwal plac częściowo był zamknięty, ale za to mogliśmy napatrzeć się na próby i posłuchać narodowej muzyki. Od niektórych pieśni, z kunsztem wykonywanych przez największych uzbeckich śpiewaków i śpiewaczki, przeszywały nas dreszcze.

Jednak jadąc do Uzbekistanu, nie ograniczyliśmy się do tych trzech miejscowości.

Oczekując na prawdziwe rozpoczęcie festiwalu melonowego w Chiwie, drugiego dnia pobytu w tym miasteczku, ruszyliśmy pozwiedzać okolicę. W informacji turystycznej dowiedzieliśmy się o kilku ciekawych miejscach, o których nie wspomina przewodnik – jedne drobne, lokalne atrakcje (jak letni pałac chanów Chiwy) położone w granicach miasta, inne od niego oddalone.

Jedną z tych nieco oddalonych były ruiny twierdzy Kajik na brzegu niewielkiego słonego jeziora Shur Kul. Miejsce raczej omijane przez „obcych” turystów okazało się całkiem popularne wśród miejscowych. Wybrzeże, poza fragmentem opanowanym przez pozostałości murów twierdzy, wypełnione jest knajpkami, parasolami plażowymi, jakimiś domkami. Ledwie zaparkowaliśmy, od razu otoczyli nas miejscowi, którzy zaczęli tradycyjnie – multum pytań, poczęstunek, a nawet zaproszenie dla Jacka do wspólnego tańca. Po sesji selfie i potańcówce mogliśmy w końcu pójść pozwiedzać.

O twierdzy nie mam za wiele do napisania, bo poza nazwą i lako-niczną informacją, że po raz pierwszy twierdza została wspomniana na piśmie w IX wieku w arabskich źródłach, nie znalazłam nic. Zgodnie z tym, co usłyszeliśmy w informacji w Chiwie, prace badawcze, archeologiczne w Uzbekistanie praktycznie nie istnieją.

Analogiczna sytuacja była w Nurocie, gdzie znajdują się pozostałości Twierdzy Nur, fortecy założonej przez Aleksandra Wielkiego. Ruiny górują nad miasteczkiem i są miejscem spacerów, ale nikt nie umie o nich nic więcej powiedzieć. U stóp wzniesienia znajduje się ciekawy kompleks budynków Czaszma („źródło”), zbudowany przy źródle ze świętą, leczniczą wodą. W jego skład wchodzi między innymi studnia, meczet, łaźnia. Zgodnie z legendą źródło powstało po uderzeniu meteorytu, dając jednocześnie początek osadzie, której nazwę można przetłumaczyć dosłownie jako „promień ojca”.

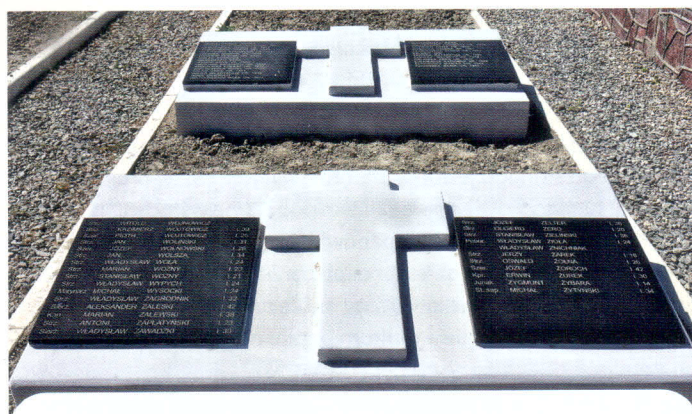
Niezwykle klimatycznym miejscem, do którego trafiliśmy pod wieczór, okazała się położona nieopodal Bucharly nekropolia Czar Bakr. Jej początk-



Potwór zawsze chciał być członkiem karawany na Jedwabnym Szlaku



Kolumnada w Meczece Juma w Chiwie



Polski cmentarz Nawoi



Jeden z petroglifów w Dolinie Sarmiszszaj



Na rybackiej przystani nad brzegiem Aralu

ki sięgają X wieku i okresu panowania Samanidów. Nekropolię, poza tymi najstarszymi nagrobkami, cechują charakterystyczne dla okresu od XV do XVIII wieku grobowce hazira w kształcie zamkniętych dziedzińców.

Jadąc przez Uzbekistan, nie sposób ominąć polskie cmentarze, których jest w tym kraju wiele. Pochowani na nich są żołnierze z armii generała Andersa, ale też cywile, którzy wraz z armią próbowali wrócić z wygnania do Polski. Nie wszystkim się udało i część z nich została na zawsze w Centralnej Azji. My zajrzeliśmy na jeden z takich cmentarzy – w Nawoi.

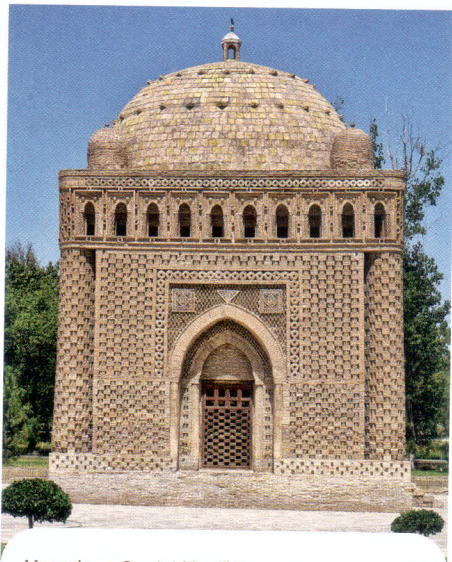
Odwiedziliśmy jednak nie tylko miejsca stworzone ludzkimi rękami. Ciągnie nas do natury, więc zahaczyliśmy o pustynię, wjechaliśmy w góry, piknikowaliśmy nad jeziorami. W zachwytach nad każdym z tych miejsc jednak nie będę się rozpływać. Wspomnę tylko krótko jedną z dolin w Górach Nurota – Sarmiszszaj. Jest to naturalne muzeum petroglifów, jak mówią miejscowi. Na powierzchni dwudziestu kilometrów kwadratowych skatalogowano około czterech tysięcy tych naskalnych rytów i rysunków. Najwięcej pochodzi z okresu od 3 000 do 900 roku przed naszą erą, ale są też takie sprzed ponad ośmiu tysięcy lat. Rzecz jasna, nie widzieliśmy ich wszystkich, a tylko kilkanaście, które znaleźć można wzdłuż głównego szlaku prowadzącego przez dolinę. Wystarczy wysiąść z samochodu, podejść bliżej zboczy lub nieco się na nie wdrapać i dobrze rozejrzeć. Natychmiast spojrzenia wyłapują na płaskich skałach sylwetki ludzi i zwierząt.

Za to Jezioro Czatkalskie, czy raczej jego wybrzeże, bardzo nas rozczarowało. Okrążyliśmy akwen, ale nie udało nam się znaleźć ciekawego miejsca, w którym chcielibyśmy lub moglibyśmy się zatrzymać. Swobodny dostęp do wody ograniczony jest albo przez wysoki, niedostępny brzeg, albo przez płatne plaże w popularnych wśród mieszkańców Taszkientu kurortach.

Znikające morze i wraki na pustyni

Tak naprawdę pierwszą miejscowością, którą odwiedziliśmy w Uzbekistanie był Munjak. Ze względu na szczególny charakter miasta postanowiłam jednak poświęcić mu kilka słów osobno. W jego okolicy określenie „okręty pustyni” nabiera zupełnie innego znaczenia. Nie mówimy bowiem w tym momencie o karawanach wielbłądów, ale o wrakach kutrów i łodzi, dożywających powoli swych zardzewiałych dni na piaskach półpustyni.

Kilka dekad temu Munjak był dużym miastem portowym nad brzegiem Morza Aralskiego. W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku kwitło tu rybołówstwo, a statki regularnie kursowały na kazachską stronę.



Mauzoleum Saminidów Chiwa



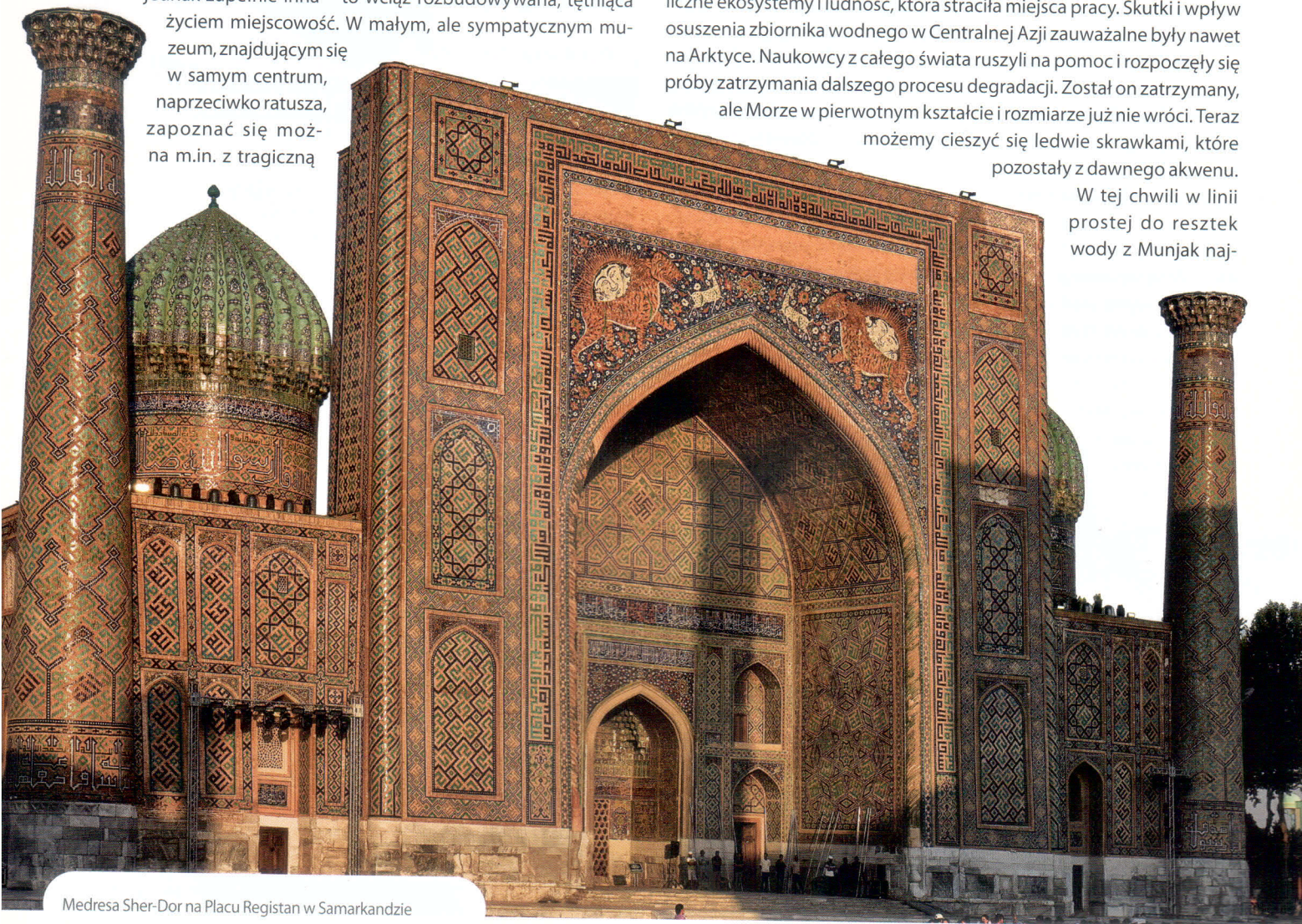
Ważenie i sprzedaż połowu – Aral

W połowie lat siedemdziesiątych duże jednostki już nie mogły wypływać na połowy, a linia brzegowa się cofnęła. Wysuszenie Morza postępowało dalej i w pewnym momencie rybołówstwo zamarło zupełnie.

Wedle przewodnika, z którego korzystaliśmy, Munjak to miasto-widmo, które upadło po wyschnięciu Morza. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna – to wciąż rozbudowywana, tętniąca życiem miejscowość. W małym, ale sympatycznym muzeum, znajdującym się w samym centrum, naprzeciwko ratusza, zapoznać się można m.in. z tragiczną

historią katastrofy, jaką wywołał nagły rozwój rolnictwa za czasów sowieckich. By nawodnić pola budowano kanały lub w inny sposób pobierano wodę z rzek zasilających Morze Aralskie. Drastycznie ograniczony dopływ wody spowodował osuszenie wielkiego akwenu. W pewnym momencie ludzie zauważyli rozmiar szkód, które dotknęły nie tylko okoliczne ekosystemy i ludność, która straciła miejsca pracy. Skutki i wpływ osuszenia zbiornika wodnego w Centralnej Azji zauważalne były nawet na Arktyce. Naukowcy z całego świata ruszyli na pomoc i rozpoczęli się próby zatrzymania dalszego procesu degradacji. Został on zatrzymany, ale Morze w pierwotnym kształcie i rozmiarze już nie wróci. Teraz możemy cieszyć się ledwie skrawkami, które pozostały z dawnego akwenu.

W tej chwili w linii prostej do resztek wody z Munjak naj-



Medresa Sher-Dor na Placu Registan w Samarkandzie



Suwak libijski – ciekawski gryzoń

bliżej jest około 100 km drogą wiodącą po byłym morskim dnie. Przy czym określenie „droga” jest na wyrost. Między rachitycznymi zaroślami znaleźć można płataninę wyjeżdżonych w piasku ścieżek i szlaków. Bez znajomości terenu można błędzić i jeździć w kółko, a w grząskim piasku łatwo utknąć. Może dlatego poza miastem nie spotkaliśmy innych chętnych na wycieczkę. Najwięcej ludzi było przy kilku wrakach, które obejrząc można u podnóża klifu. Te jedyne zachowane statki (inne porzucone jednostki wedle słów miejscowych już dawno poszły na złom) są swoistym pomnikiem, przy którym mieliśmy szczęście spotkać zwiedzającego okolicę Kazacha. Starszego, wesołego pana, który wybrał się w podróż sentymentalną, bo za młodu pływał po Morzu Aralskim i doskonale pamiętał lata jego świetności. Pokazywał, gdzie była przystań, dokąd sięgała woda, opowiadał jakie ryby łowili, jak kursowali między brzegami.

Po uzbeckiej stronie odpuściliśmy próby dojazdu do wody. Za to w drodze powrotnej do domu, po stronie kazachskiej, postanowiliśmy zrobić sobie nad brzegiem morza dłuższy przystanek. Z Aralska do Żalanasz jechaliśmy pół dnia. Niby niedaleko, ledwie sześćdziesiąt kilometrów, jednak po okropnej tarce, jaką okazał się szutrowy szlak, można było jechać albo poniżej dwudziestu, albo powyżej dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Pośrednie prędkości były mordercze. A gdy do tego dodać częste przystanki na zdjęcia, a to pasących się koni, to krajobrazu, to orłów, tempo jazdy było wyjątkowo powolne.

Minęliśmy wioskę Żalanasz i zagłębiliśmy się w płataninę piaskowych dróg, aż naszym oczom ukazała się lazurowa tafla, upstrzona biało-różowymi plamkami stad flamingów. Brzeg jednak okazał się bagnisty i Jacek szybko dorobił się błotnych „skarpet” po kolana. Po krótkim postoju ruszyliśmy dalej, by znaleźć lepszy dojazd nad wodę.

I znaleźliśmy – w pobliżu przystani. Gdy kończyliśmy piknik, zaczęły się zjeżdżać pierwsze uazy, z których wysiadali rybacy.



W poszukiwaniu Morza Aralskiego



Orzeł przedni

Ledwie chwilę im zajmowało naszykowanie łodzi do wypłynięcia, by zarzucić sieci na jeziorze. Jacek zamusztrował się jako załogant jednej z nich. Sporo po zmroku przyplłynęli, by wrócić na noc do domów, a my znów zostaliśmy na brzegu sami.

Przed świtem rybacy pojawili się ponownie, by wypłynąć po łów. W promieniach wschodzącego słońca rozładowywali łodzie, dzielili i ważyli ryby, pakowali je w skrzynie z lodem. Jacek ponownie włączył się do pracy i z ochotą pomagał każdej chyba załodze. Przy okazji wypytywał o ich codzienne życie, o pracę. Dowiedział się między innymi, że znakomita większość ich połowów wylądzuje na europejskich stołach. A oni za swoją pracę będą mieć parę groszy i kanister paliwa, by móc wypłynąć na kolejny połów.

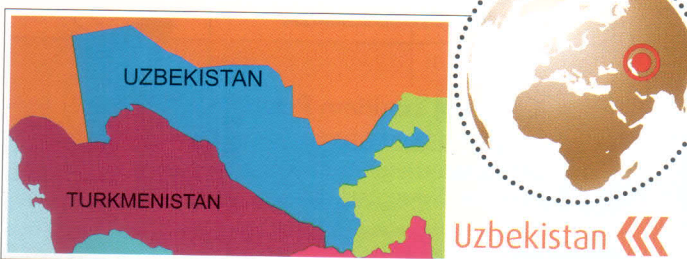
Obalamy stereotypy, czyli świat się zmienia

Przed wyjazdem, gdy znajomi słyszeli dokąd zamierzamy jechać, część z nich znów łapała się za głowy. Dostaliśmy masę rad i usłyszeliśmy ogrom ostrzeżeń. Że w Kazachstanie i Uzbekistanie policja to łapówkarze i co sto metrów czyhają na podróżnych, by ich oskubać pod byle pretekstem (tak podobno pisał w jednej ze swoich książek pewien znany podróżnik). Że na granicy Uzbekistanu przetrzepują telefony, tablety, laptopy, książki, poszukując pornografii (przy czym za takową uważane jest zdjęcie w bikini na plaży czy basenie). Że jadąc samochodem z silnikiem Diesla, nie pozwiedzamy, bo nie zatankujemy nigdzie poza Taszkientem i że ten wyjazd nie ma sensu. Że Kazachowie i Uzbekowie się wzajemnie nie znoszą i musimy uważać, co jednym mówimy o drugich. Że gotówkę nosi się w reklamówkach i plecakach, a kursy na bazarach są korzystniejsze niż w bankach.

Nie wiem jednak, czy to czasy się zmieniają, czy to my mamy szczęście, a opowiadający mrozące krew w żyłach historie mieli pecha, czy tylko konfabulowali, by wzbudzić większą sensację. A może po prostu wymieszane wszystko po trochu? Fakt jest taki, że nic z tego nam się nie przydarzyło.



W Dolinie Sarmiszsaj



NIEZBĘDNIK PODRÓŻNIKA

» CEL PODRÓŻY

Uzbekistan

» ODLEGŁOŚĆ W LINII PROSTEJ

około 3 600 kilometrów

» DOKUMENTY

ruch bezwizowy; ale w przypadku jazdy samochodem po drodze wymagana wiza tranzytowa przez Rosję

» WALUTA

sumy uzbeckie (UZS); 100 UZS to około 0,042 zł (polskie złotówki niewymienne; najlepiej mieć euro lub USD)

» KONSULAT

Ambasada Polska w Uzbekistanie, ul. Firdavsiy 66, Junusabadskiy Rayon, 700084 Taszkient

» ZALECENIA MEDYCZNE

brak specjalnych wymagań

» WARUNKI ATMOSFERYCZNE

lata upalne (w terenach pół- i pustynnych temperatury dochodzą 50°C w cieniu, w górach odrobinę chłodniej), bardzo sucho

» PALIWO

benzyna – około 5 300 UZS za litr, diesel – od 6 000 za litr (trudno dostępny, na nielicznych stacjach)

» WODA

wiele rodzajów, bez problemu do zakupienia w każdym sklepie; źródła łańcem najczęściej wyschnięte

» NOCLEGI

od noclegów na dziko, przez gościnnych gospodarzy i pensjonaty, do hoteli o wysokim standardzie; cen nie znamy, korzystaliśmy wyłącznie z dwóch pierwszych opcji; z informacji z drugiej ręki – cena pokoju dwuosobowego w hotelu zaczyna się od 30 EUR za noc

Kilka razy w obu krajach przytrafiły nam się kontrole drogowe, ale nikt niczego od nas nie chciał. Rzut oka na dokumenty i dłuższy, bardziej zaciekawiony na Potwora. Jeden z patroli nawet nie próbował udawać, że chce nam skontrolować papiery, bo nie poprosił o nie, tylko od razu zaczął wypytywać o samochód. Któryś patrol w Kazachstanie z troską pytał, czy odpoczywamy po drodze, bo zmęczenie może być niebezpieczne.

Rzeczywiście, jak już wspomniałam, bagaże przetrzepali wszyscy porządnie, ale do zawartości pamięci elektroniki nikt nie zaglądał. Raz jeden pogranicznicy przejrzyli nam pamięć aparatu. To jednak miało miejsce w Górach Hissarskich, tuż przy granicy z Tadżykistanem. Po prostu sprawdzali, czy poza krajobrazami nie sfotografowałam ich strażnicy. A ponieważ takiego zdjęcia nie znaleźli, życzyli nam udanych dalszych wakacji i się miło pożegnali.

Co do paliwa, to faktycznie pierwsza stacja z ropą znajdowała się trzysta kilometrów od granicy i kolejne też są stosunkowo rzadko rozmieszczone i niezbyt łatwe do znalezienia, jednak tragedii nie było. Trochę się musieliśmy napytać i naszukać, bo oznaczenie dystrybutora „D/T” wcale nie oznaczało, że w zbiorniku jest choćby kropla paliwa. Jednak ani raz nam go nie brakło.

Szybko przekonaaliśmy się, dlaczego tak jest. Uzbekistan ropę musi sprowadzać, za to ma złoża gazu, który wydobywa. Nowe samochody jeżdżą więc na benzynie. Wszystkie starsze są zagazowywane – osobówki, autobusy, ciężarówki.

Żaden Kazach po drodze nie miał problemu i nie kręcił nosem, że celem naszego wyjazdu był Uzbekistan. Wręcz przeciwnie – wszyscy życzyli nam udanego pobytu lub cieszyli się, że nam się podobało i zapraszali na drugi raz do siebie.

Ostatnia rzecz, to element swoistego folkloru, którego może nam nawet ciut żal. Z opowieści i zdjęć ludzi, którzy w tym kraju gościli w minionych latach, wiedzieliśmy, że parę dolarów lub euro zamieniało się reklamówkę lub plecak sumów. I że lepiej wymianę robić na bazarach. Teraz już tak nie ma. Kurs bazarowy i bankowy został zrównany, a pieniądze nosi się w saszetkach, nie torbach. Pliki banknotów wciąż są grube, ale spokojnie mieszczą się w kieszeniach.

Uzbekistan się zmienia i otwiera na świat i turystów. Łagodzi przepisy, upraszcza procedury. Niezmienne pozostają piękno kraju i życzliwość jego mieszkańców. Zgodnie z naszą zasadą poznawania coraz to nowych miejsc, raczej tam już nie wrócimy, chyba że tranzytem dalej na wschód. Jednak innym polecamy, by zajrzeć tam przynajmniej raz. ☺